

Czy rozwodnik (z drugą żoną) pójdzie do nieba?



■ Rozmawiała Aleksandra Lewińska 2008-10-03, ostatnia aktualizacja 2008-10-07 15:14:36.0

U nas rozwodnik, który żyje w nowym związku, ustawia się do komunii jak wszyscy. Tyle że z palcem na ustach. Ksiądz wie, o co chodzi - mówi jezuita o. Mieczysław Łusiak, prowadzi duszpasterstwo małżeństw niesakramentalnych

Aleksandra Lewińska: Rozwodnika, który ma drugą żonę, nie rozgrzeszy żaden ksiądz. Nigdy nie pójdzie do komunii. To dla wielu wierzących znak, że Kościół ich odrzuca. Karze.

O. Mieczysław Łusiak: To nie kara, tylko konsekwencja. Nieodwracalny skutek błędu popełnionego kiedyś. Ale przecież Kościół jest dla ludzi błądzących. Kościół to jakby przychodnia. Tu słabi, ci, co źle się mają, nie radzą sobie ze sferą duchową, nie potrafią jeszcze kochać tą wielką miłością, mają przychodzić po lekarstwo. Przecież Jezus jest lekarzem, spowiedź to forma terapii.

Małżonkowie niesakramentalni spowiadają się?

- Teoretycznie mogą, ale nie dostaną rozgrzeszenia, więc w praktyce się do takiej spowiedzi nie palą. Podczas naszych rekolekcji organizuję coś na wzór spowiedzi. Ale takiej bardziej prywatnej. Ludzie piszą swoje grzechy na kartkach. Nie pokazują innym. A jeśli chcą pogadać, jestem dla nich.

Ustawiają się na księdza mszach w kolejce do komunii, a przecież nie mogą jej przyjąć.

- Ważny jest pewien gest, który wykonujemy podczas mszy. Małżeństwa niesakramentalne podchodzą jak wszyscy, ale gdy stoją przed kapłanem dają mu specjalny znak, że chcą, ale nie mogą komunii przyjąć. Kapłan wówczas błogosławi ich Najświętszym Sakramentem. To taki symbol tego, że i oni, i Kościół uznają, że sytuacja nie jest prawidłowa, ale obie strony są świadome, że Bóg ich nie przekreślił.

Jaki to znak?

- Wystarczy położyć palec na ustach, jak w geście milczenia. Ksiądz zrozumie.

Nie w każdej parafii.

- U nas to funkcjonuje już na każdej mszy, nie tylko tej dla małżeństw niesakramentalnych. Ale racja, to praktyka znana duszpasterzom takim jak ja. Myślę, że w całym kraju podobnie to kiedyś zafunkcjonuje. Szkoda, że jeszcze nie weszło do innych kościołów. Trochę marzy mi się takie ogólnopolskie rozporządzenie. Dobrze by było, gdyby wszyscy duszpasterze małżeństw niesakramentalnych spotkali się, uzgodnili jednolitą formę: umówiony znak, który oznacza, że ktoś chce błogosławieństwa, bo do komunii nie może przystąpić. Powinniśmy jako grupa wystąpić z prośbą do Episkopatu o wydanie takiej instrukcji.

Opieka kapłanów nad rozwiedzionymi może sprawiać wrażenie, że zmienia się nauka Kościoła na temat nierozzerwalności małżeństwa, że księża zaczynają akceptować rozwody.

- Nic bardziej błędnego! Ale wiem, że niektórzy proboszczowie mogliby się obawiać wprowadzenia takich zwyczajów właśnie dlatego. Moim zdaniem to zupełnie nieuzasadnione obawy. Ci ludzie, stojący w kolejce do komunii, której nie mogą przyjąć, to raczej potwierdzenie, że o małżeństwo trzeba dbać, chronić je, że to wielka wartość. Zdaję sobie jednak sprawę, że aby to stało się powszechne, potrzeba czasu. Od czegoś trzeba zacząć. Ja zacząłem od mojego kościoła.

Duszpasterstwo nie jest po to, by mówić ludziom, że rozwody to nic złego. Raczej: przestańcie biadolić, stało się, a teraz trzeba zakasać rękawy i dążyć do świętości.

Jak? Zrezygnować z seksu, by móc przyjmować komunię?

- Jeśli oboje małżonkowie są dojrzały i przy tym heroiczni, decydują się na tzw. białe małżeństwa. Rezygnują ze współżycia. Wtedy Kościół może przyznać oko na to, że mieszkają razem, uznać, że to relacja jak brat z siostrą czy przyjaciel z przyjaciółką. I małżonkowie mogą przystąpić do komunii.

Nakłania ksiądz do tego na spotkaniach?

- Nie to jest celem mojego duszpasterstwa. I powiem szczerze, że w tym względzie sukcesów nie mam (śmiech). Ale jesteśmy młodą wspólnotą. Może kiedyś któraś bydgoska para dojrzyje do takiej decyzji. To niełatwe.

Jak często się spotykacie?

- Dwa razy w miesiącu. Na mszy w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Przychodzi około 15 par, często przyprowadzają także dzieci i teściów. I w każdą trzecią środę miesiąca mamy dodatkowe spotkanie, zazwyczaj w mniej liczonym gronie. Modlimy się, czytamy Pismo Święte, dyskutujemy. Jest też czas na luźne rozmowy. Ludzie się już zaprzyjaźnili. Łączą ich wspólne wyjazdy, rekolekcje. No i oczywiście podobne doświadczenie życiowe. Ojciec Mirosław Paciuszkiewicz [jezuita, jeden z prekursorów duszpasterstw małżeństw niesakramentalnych - przyp.red.] dobrze to określił w tytule jednej ze swoich książek - "Tęsknota i głód". Bardzo chcieliby dostać rozgrzeszenie, pójść do komunii, ale nie mogą. Duszpasterstwo stara się w jakiś sposób tę tęsknotę łagodzić.

Nie doradza ksiądz rozwodnikom po ślubie cywilnym zakończenia nowego związku, skoro to grzech?

- To nie jest rozwiązanie. Ważna jest też odpowiedzialność jeden za drugiego. Za partnera, wspólne potomstwo. A nawet i nie wspólne. Bo przecież często nowy tatuś staje się prawdziwym ojcem dla dzieci z poprzedniego, sakramentalnego małżeństwa rozwiedzionej matki. Właśnie na najbliższej niedzielnej mszy będę próbował odpowiedzieć na pytanie, czy osoby żyjące w niesakramentalnych małżeństwach pójdą do nieba.

Pójdą?

- Nie mogę powiedzieć tak lub nie. To nie takie proste. Mówię: to zależy.

Od czego?

- Zgodnie z Ewangelią decydująca jest nasza dojrzałość do życia w niebie, a nie nasza przeszłość. Ja widzę, że dla wielu ludzi nowy, cywilny związek, choć jego zaistnienie było grzechem, choć zrodził się w wyniku ludzkiej słabości, staje się drogą do świętości. I to przesłanie jest istotą duszpasterstwa, które prowadzę.

Przychodzą do ojca też pary żyjące w konkubinacie czy małżeństwa cywilne z wyboru?

- To miejsce dla ludzi, którzy chcieliby wziąć ślub kościelny, ale nie mogą, bo mają przeszkodę, konkretnie rozwód jednego z partnerów. Nie dla takich, którzy po prostu nie zgadzają się z nauką Kościoła i nie chcą brać ślubu, nie liczą się z sakramentem.

Jakie historie mają ludzie, którzy trafili do duszpasterstwa?

- Klasyczny scenariusz wygląda tak: dwie osoby deklarujące się jako wierzące, ale żyjące dość daleko od Kościoła, bardziej z tradycji niż z przekonania biorą ślub kościelny. Po paru latach coś się rozsypuje. Rozwodzą się. A potem wchodzi w nowy związek. Ludzie nie chcą być sami, to normalne. Ale przychodzi taki moment, że zaczynają się nad sobą, swoją wiarą zastanawiać. Czasem przy chrzcinach dziecka, najczęściej, gdy posyłają je do Pierwszej Komunii Świętej. Niektórzy dopiero wtedy dowiadują się, że żaden spowiednik ich nie rozgrzeszy i

komunii razem z synem czy córką nie przyjmą. I wtedy się zaczyna: najpierw jest zdziwienie, później dramat. Często bunt, obrażenie się na Kościół. A czasem błaganie księży, by mogli choć raz, ten jeden, wyjątkowo, przystąpić do sakramentu.

Ale to niemożliwe.

- I niektórzy się zniechęcają: "Nie mogę dostać rozgrzeszenia, więc nic tu po mnie. Odpadam. W Kościele mnie już nie ma". Inni szukają dalej. Na ogół są to już dość dojrzały ludzie. I gdy opadną pierwsze emocje, rodzi się zwyczajna tęsknota za modlitwą, uczestnictwem we mszy świętej. Wtedy przyjmują, że skutki wcześniejszych decyzji, czyli rozwodu i zawarcia ponownego związku są nieodwracalne. Ale nie wykluczają ich z Kościoła! Że dalej mogą się przecież modlić, pogłębiać wiarę, czytać Pismo Święte.

Ksiądz Józef Tischner powiedział w jednym z wywiadów o małżonkach niesakramentalnych, że "pokazują Bogu: zrozumi, to jest ponad nasze siły, żebyśmy się rozstali. A właściwie pokazują coś więcej: to jest nasza miłość i ona jest dobra. Dochodzi w ten sposób do sporu między miłością a Miłością. I to jest właściwy spór człowieka z Bogiem. Pan Bóg daje się przekonać miłości. Miłość nie rozgrzesza, tylko przekonuje Pana Boga..." Przychodzą do ojca ludzie, którzy pytają wprost: którą miłość wybrać? Co ojciec takim ludziom mówi?

- Jako ksiądz muszę powiedzieć, że Bóg nie chce nowego związku. Nie mogę powiedzieć, że to dobre, że ktoś się rozwodzi i ma nowego partnera. Ale podkreślam, że trzeba też spojrzeć na owoce. Nie zawsze, jak ktoś robi coś nieprawidłowo, z założenia błędnie, to przynosi to same złe skutki.

Powiem o jednym konkretnym przypadku. Znam małżeństwo niesakramentalne, które pobrało się stosunkowo późno. Pan był wdowcem. Pani się rozwiodła, po części pod wpływem znajomości właśnie z tym wdowcem. Oboje byli, a teraz właściwie jeszcze bardziej są, osobami głęboko wierzącymi. Dla kobiety decyzja o rozwodzie była bardzo trudna. Choć moim zdaniem powinna wcześniej od męża odejść. Uciec przed nim, a właściwie przed jego przemocą. Ochronić dwójkę swoich dzieci. Ale pani była mocno przekonana, że choćby nie wiadomo co się działo, powinna być wierna, że tak należy. Być może, gdyby nie pokochała tego wdowca, nigdy na rozstanie z mężem by się nie zdecydowała. Ale przecież nie można mówić, że opuściła męża, bo poznała fajnego faceta. To nie tak. Zanim podjęła decyzję o rozwodzie przyszła do o. Paciuszkiewicza, który miał w Bydgoszczy rekolekcje dla małżeństw niesakramentalnych. To musiała być niesamowicie trudna rozmowa. Wiem, bo zdarza mi się prowadzić podobne. Ale podjęła decyzję, że zwiąże się z wdowcem i już wtedy była świadoma wszystkich konsekwencji.

Aby żyć zgodnie z nauką Kościoła, musiałyby już zawsze być sama?

- Łatwo powiedzieć: niech się rozwiedzie i żyje sama. Ale bycie samotną tylko dlatego, że z sakramentalnym mężem nie dało się stworzyć dobrej rodziny, byłoby po prostu heroizmem. A kapłan nie może od ludzi heroizmu wymagać. Heroizm to nie obowiązek. Nie każdego człowieka na to stać. To normalne. Dlatego pochylam się nad ludzką słabością. Przecież to należy do misji Kościoła. Wychodzę naprzeciw człowiekowi, który nie jest jeszcze doskonały, który popełnił błąd.

Pani, która wzięła ślub cywilny z wdowcem, jest szczęśliwa?

- Skutek tej decyzji jest niesamowicie pozytywny dla wszystkich: szczególnie dla dzieci.

Czy ksiądz może odmówić rozwodnikowi i jego drugiej żonie chrztu dla dziecka, czy pierwszej komunii?

- To nieporozumienie. Może były takie przypadki, ja się z nimi nie spotkałem. Jeśli takie małżeństwo chce ochrzcić dziecko, a samo nie ma ślubu kościelnego, bo po prostu nie może go mieć - nie ma problemu. Można domniemywać, że, gdyby mogli, pobraliby się, że czują sprawę wiary. Gorzej, gdy to konkubinaty. Ludzie, którzy żyją na kocią łapę z wyboru, zwyczajnie nie chcą ślubu kościelnego. Wtedy już coś nie gra. Pojawia się pytanie:

czy oni w ogóle są wierzący? Jeśli sami nie chcą żyć zgodnie z zasadami Kościoła, jak mają podczas chrzcin obiecywać, że wychowają potomstwo w duchu katolickim, że wyrzekają się grzechu? Gdy byłem proboszczem, robiłem takim parom problemy. Kapłan nie powinien pozwalać na chrzest jako tradycyjny obrzęd, a nie akt wiary.

Znam katolików, którzy po rozwodzie planowali swoje drugie małżeństwo przypieczętować u protestantów. Ludzie dyskutują o tym na internetowych forach.

- Ja znam tylko przypadek Piłsudskiego (śmiech). Osobiście się z tym nie spotkałem. Protestanci dopuszczają, pod pewnymi warunkami, ponowne małżeństwo. Ale dla nich nie ma ono rangi sakramentu. Dla mnie sprawa jest jasna. I nie zaprzeczy temu żaden uczony czy historyk. Nerozerwalność małżeństw była czymś oczywistym dla chrześcijan od zawsze.

Kiedy pojawiły się zmiany w nastawieniu Kościoła do małżeństw niesakramentalnych?

- Oddolne głosy, by takie duszpasterstwo powstało, pojawiały się już w latach 60. Ale najwyraźniejszy - dopiero na początku 80. Wtedy po synodzie biskupów poświęconym rodzinie Jan Paweł II w adhortacji apostoelskiej wystosował apel, w którym wezwał kapłanów do okazywania pomocy rozwiedzionym. Wyraźnie powiedział, by takie małżeństwa otoczył szczególną opieką.

Tym bardziej że dziś liczba rozwodów wciąż rośnie.

- Życie w tym kierunku idzie, pewnie rozwodników będzie coraz więcej. A ja wciąż czuję, że ci ludzie mnie potrzebują. Mam pełne ręce roboty.

Rozmawiała Aleksandra Lewińska

Tekst pochodzi z serwisu Wyborcza.pl - www.wyborcza.pl © Agora SA
